Nr. 13. Lwów, 1. lipca 1901. Rok XXIV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

PIĄTY ZJAZD ŁOWIECKI.

Piąty zjazd łowiecki wraz z premiowem strzelaniem, urządzonem przez gal. Towarzystwo łowieckie odbył się programowo d. 30 czerwca i 1 lipca 1901.

Program nie dopisał pod jednym względem, a mianowicie pod względem ilości uczestników Walnego zgromadzenia, których stawiło się zaledwie 20-stu. Lata poprzednie upoważniały nas do mniemania, że zjazd tegoroczny będzio bardzo liczny. Byliśmy przekonani, że członkowie naszego Towarzystwa przez liczny zjazd, właśnie w czasie obrad Sejmu odbyty, zechcą zamanifestować tem, że sprawy nasze w Sejmie, obecnie załatwienia oczekujące, leżą nam na sercu. Tymczasem spotkał nas zawód. Gdyby nie przypuszczenie, że tak nieliczny zjazd, był tylko wynikiem przypadku, mogłyby opaść ręce Wydziałowi, który stara się wszelkiemi siłami obudzić wśród Towarzystwa zainteresowanie dla ogólnych spraw łowiectwa.

Strzelanie odbyło się przy współudziale prawie bez wyjątku tych samych członków, którzy brali udział w poprzednich zapasach na strzelnicy.

Jestto dowodem, że kto raz wziął udział w tej naszej zabawie, staje się już stałym jej współuczestnikiem.

Na tem miejscu uważamy sobie za obowiązek złożyć serdeczne podziękowanie JE. głównokomendrującemu, jenerałowi zbrojmistrzowi Fiedlerowi za łaskawe pozwolenie użycia strzelnicy na nasze zebranie i za obecność na strzelnicy, JE. jenerałom v. Koller i v. Lang za pracę w sądzie rozjemczym.

Komendzie strzelnicy należy się również serdeczna podzięka za tak wydatną pomoc w urządzeniu strzelania.

Wyprawa myśliwska
Hr. JÓZEFA POTOCKIEGO
do Sudanu.

(Dalszy ciąg).

Miejscowość, do jakiej doszliśmy owego ranka (13 lutego) nosi nazwę Rigeba. Pośrodku doliny ciągnie się spore jezioro, mogące mieć wiorstę długości a ćwierć szerokości i zarośnięte w części niewysokim szuwarem. Pośrodku samym jezioro jest najszersze i zupełnie czyste. W tem to miejscu, według zdania Arabów, których spotkaliśmy tu zajętych łowieniem ryby, trzyma się stale 6 czy 8 hypopotamów. Radzili nam chwilkę poczekać, aby się o tem przekonać. Jakoż niedługo czekaliśmy, aby ujrzeć wynurzające się kolejno głowy tych potworów, których naliczyliśmy sześć; odległość jednak była zbyt znaczną, aby ryzykować strzały. Przytem krajowcy upewniali nas, że po południu, koło godz. 4-ej wychodzą hypopotamy na brzeg, a wtedy będziemy mogli spokojnie do nich strzelać. Jednocześnie mówili, że w okolicy włóczą się stale dwa lwy, a miejsce ich zwykłego przejścia wskażą nam chętnie. Wobec tych widoków hrabia zdecydował się rozbić tu obóz, dla zrobienia zeriby, we wskazanem przez krajowców miejscu. Ponieważ jednak sam był zmęczony po spędzonej bezsennie nocy, postanowiliśmy, że tego wieczora ja pójdę na zasadzkę.

Nadciągnęła karawana; rozbito obóz, kryjąc go nieco w dżungli, aby jego obecnością nie płoszyć hypopotamów; wkoło ludzie nasi poczęli robić obszerną zeribę dla zabezpieczenia zwierząt od możliwej napaści lwów. Hr. Potocki wziąwszy za przewodnika młodego Araba rodem z Rigeby, a imieniem Fadil, poszedł na ariele, ja zaś pozostałem na miejscu, gdyż miałem do spreparowania piękną gęś egipską *(Chenalopex aegyptiaca)*, której oprawienie mogło mi zająć około 4 do 5 godzin czasu. Tymczasem zasiadłem na brzegu doliny i przez lornetę, obserwowałem z niemałą ciekawością hypopotamy, jak w odstępach kilkominutowych wynurzały z wody swe potworne głowy, dmuchały potężnie nozdrzami, lub ziewały, pokazując swe olbrzymie zęby; a potem zwolna zanurzały się pod wodą. Jednocześnie na przeciwległym brzegu zaczęły się wyłaniać wstrętne cielska krokodylów. Kolejno zaległo ich 14 wzdłuż pobrzeża. Na miejscach zarośniętych roiło się ptactwo błotne i wodne: białe jak śnieg czaple i ibisy, czarne z białemi skrzydłami żórawie, kaczki afrykańskie (*Dendrocygna viduata)* i wiele innych, któremi już Was nie chcę nudzić. Słowem był to widok jedyny, któremu można było przyglądać się całemi godzinami bez najmniejszego znudzenia.

Około godz. 10 ej wrócił hrabia, oznajmiając mi, że widział sporo antylop, do których strzelał kilkakrotnie, lecz bez skutku i radził, abym i ja szczęścia spróbował, byłem na 11-tą był w domu na śniadanie. Chętnie przyjąłem tę propozycyę i wziąwszy za przewodników Fadila i drugiego młodego Arabczuka, zarzuciłem na ramię mannlichera i ruszyłem ku dżungli. Była to właściwie pierwsza wycieczka myśliwska, tem większe budziła też we mnie zainteresowanie.

Nie wiem, czyśmy uszli kilkaset kroków od obozu, gdyśmy spostrzegli pierwszą sztukę, stojącą na jakie 200 kroków. Chciałem ją podejść bliżej, lecz dla braku zasłony, zwierz widział mnie ciągle i uchodził zwolna tak, że odległość była wciąż ta sama. Gdy wreszcie stanął, odsłaniając mi bok cały, zdecydowałem się strzelać (bez lunety, gdyż takową w domu zostawiłem). Po strzale zwierz ani drgnął, szybko więc zmieniłem magazyn i ściągnąłem powtórnie. Tym razem kula musiała świsnąć blisko antylopy, bo ta w susach uciekła, niknąc mi z oczu wśród gąszczu.

Nie uszliśmy znów 220 kroków, gdy Fadil, który szedł przodem, wskazał mi poza trawami stadko antylop, 6 czy 7 sztuk. Tutaj rozłożysty krzak dawał mi pewną zasłonę, więc zostawiwszy obu przewodników na miejscu, sam zacząłem się ostrożnie podkradać, kryjąc się poza krzakiem. Gdym do niego doszedł, dzieliła mnie jeszcze przestrzeń 100 kroków, a ponieważ dalsze podchodzenie było bardzo niepewne, więc z tego miejsca strzeliłem do największej z antylop. Padła jak piorunem rażona, gdy inne w popłochu zniknęły mi w trawach. Była to piękna gazella rdzawo-czelna *(Gazella rufifrons)*. Wielkości rocznej sarny, posiada całe ciało barwy pięknie płowej, spód zaś biały. Na boku kolor płowy od białego oddzielony jest wyraźną, czarną pręgą. Rogi ma karbowane, nieco w tył, a potem ku przodowi wygięte, wysokości 11 do 12 cali angielskich.

Moi chłopcy szybko ją wypatroszyli, ciepłą jeszcze wątrobę na surowo zjedli, flaki w wypróżniony żołądek spakowali i zaczepiwszy antylopę na kiju, ponieśli ją za mną. W dalszym ciągu spotykaliśmy ciągle pojedyncze sztuki lub niewielkie stadka, bliżej jednak 150—200 kroków zejść się nie dawały. Strzelałem jeszcze trzy razy, lecz bez skutku, aż wreszcie za czwartym razem postrzeliłem silnie pojedynczą sztukę, która kulejąc zaczęła uchodzić. Szedłem za nią szybkim krokiem, aż wreszcie stanęła i zwróciła się do mnie na kulawy sztych. Strzeliłem więc do niej, a kula brzuch prześwidrowała, aż część żołądka na wierzch wyszła. Byłbym ją doszedł i z łatwością dostrzelił, ale mój Fadil, widząc, że zwierz z trudnością uchodzi, puścił się za nią, jak chart za szarakiem. Napróżno krzyczałem, jak opętany: chłopak i gazella zniknęli mi z oczu. Nie wiedziałem wtedy, że tutejsi lepiej od gończych zwierzynę biorą, lecz wkrótce się o tem przekonałem. Nie upłynęło 5 minut, gdy zdaleka usłyszałem nawoływanie Fadila. Poszedłem na głos z drugim Arabczukiem i wkrótce doszliśmy do Fadila, stojącego nad nieżywą już gazellą. Zwyczajem mahometańskim poderżnął jej gardło, aby jej krew uszła, gdyż inaczej mięsa jeść by nie wolno było. Znów nastąpiło patroszenie, spożywanie surowej wątroby, pakowanie flaków, poczem ruszyliśmy szybko ku obozowi, gdyż 11-ta już dochodziła. W pięć kwandransów od wyjścia wróciłem z dwoma pięknymi koziołkami, w nagrodę czego hrabia sfotografował mnie, stojącego nad zabitemi sztukami w towarzystwie obu moich przewodników. Jeszcze przed śniadaniem spreparowałem łeb jednej z antylop do wypchania; drugiej zaś obcięliśmy tylko rożki, jako trofeum myśliwskie.

Zjedliśmy śniadanie. Tymczasem ludzie nasi zajęci byli robieniem zeriby w koło obozu; służba rozbijała namiot dla hrabiego. Po śniadaniu zająłem się preparowaniem gęsi, gdy hrabia obserwował ciągle ruchy hypopotamów. Około godziny 4-ej po południu jeden z nich wyszedł na płytsze miejsce, prezentując nam swe olbrzymie, w części różowe cielsko; żaden jednak na ląd nie wychodził.

Obiad zjadłem sam o 5-ej, gdyż chciałem wcześniej iść do zeriby, aby ją w razie potrzeby poprawić. Hrabia mówił mi, że tutejsi nie mają pojęcia o urządzaniu zeriby, robiąc ją zbyt niską i rzadką. Przed 6-ą udałem się na miejsce, zabierając ze sobą cal. 10 (paradoks), mannlichera, krzesło składane, kołdrę i kieszonkowy akumulator, służący zamiast zapałek, gdy chodzi o znalezienie w ciemności jakiego przedmiotu, lub zobaczenie godziny; wziąłem też ze sobą małe koźlątko, które poprzedniego dnia służyło hrabiemu za przynętę, jak wiadomo, bez skutku. Papierosów wziąłem umyślnie tylko trzy, aby mi ochota do palenia nie przyszła. Oprócz Mohameda poszło ze mną kilku ludzi do poprawienia zeriby i przeniesienia mych rzeczy, a między nimi Hasaballa, ów Arab, który nam z amatorstwa towarzyszył podczas całej wyprawy.

Miejsce na zeribę wybrano w odległości 20 minut drogi (2 wiorst) od obozu, w dżungli, przy samym prawie brzegu doliny. Uszliśmy może z połowę drogi, gdy usłyszeliśmy kilka strzałów sztucerowych: to hrabia strzela do hypopotamów.

Jeden rzut oka na zeribę potwierdził mi zdanie hrabiego; Ahmed Idris zrobił ją tak niską, że ledwie do pasa sięgała, a przytem rzadko narzucone gałęzie pozwalały widzieć na wskroś jej wnętrze. Tył zeriby stanowiło gniazdo termitów, na jakie 3 metry wysokie, co dawało gwarancyę, że przynajmniej z tej strony myśliwy był zabezpieczony od możliwego ataku nieprzyjaciela. Przed zeribą rozciągał się placyk, obnażony zupełnie z wszelkiej roślinności, lecz już o jakie 15 kroków rozpoczynały się krzaki i trawa, sięgająca miejscami do pasa. Tuż obok znajdowała się ścieżka, którą lew przechodził do wody, czego dowód mieliśmy w tropach z poprzedniej nocy, które na pyle były widoczne.

Kazałem ludziom naciąć gałęzi akacyowych i tym sposobem podwyższyliśmy zeribę do wysokości ramion człowieka, co jeszcze nie dawało gwarancyi bezpieczeństwa. Somalisi robią ogrodzenie wysokie na jakie $2^{1/2}$ metra i prawie zamknięte od wierzchu, a przy tem tak gęste, że wewnątrz można siedzieć ukrytym zupełnie przed bystrym wzrokiem drapieżnika; moja więc zeriba daleką była od tego ideału i siedziało się w niej, Bogiem a prawdą, jak na patelni. Ale cóż było robić? Szybko zapadający zmrok nie pozwalał na dalsze poprawki, więc przywiązawszy koźlę o sześć kroków od wylotu zeriby, wszedłem z Mohamedem do środka; ludzie nasi zarzucili otwór gałęźmi i pożegnawszy nas, odeszli. Na wprost koźlęcia urządziłem sobie rodzaj obszernego okienka, wyłamując niektóre gałązki, lub zakładając jedne za drugie. Gdy to wszystko było gotowe, zasiadłem sobie wygodnie na krześle, nabiwszy cal. 10, z którego zmierzyłem się wielokrotnie, aby mniej więcej mieć pojęcie, gdzie mi osada na policzku wypada; mannlicher miał magazyn z 5-ma kulami. Mohamed usadowił się w kuczki po mojej lewej stronie, kładąc na ziemi swój miecz sudański. Miał też ze sobą kubek z namoczoną w wodzie surową kukurydzą. Dałem mu papierosa, sam zapaliłem drugiego i w milczeniu oddaliśmy się rozmyślaniom. Gdyby komu chodziło o analizę wrażeń, jakie mój umysł wtedy zaprzątały, to znalazłby tam mięszaninę wszystkiego. Oczywista rzecz, że podstawę stanowił niepokój, jaki podobnego rodzaju sytuacya *a fortiori* wywołuje, szczególniej, gdy się w niej człowiek znajdzie poraz pierwszy w życiu: ten jednak niepokój, na szczęście, w znacznej części neutralizowała chęć zabicia najwspanialszego może zwierza, o jakim myśliwy marzyć może. Co to będzie za radość, gdy jutro o świcie zobaczę rozciągniętego przed zeribą króla zwierząt!

Tymczasem zmrok szybko się posuwał; złocisty zachód bladł i szarzał; na niebie ukazały się pierwsze gwiazdy. Cisza była zupełna, tylko niekiedy sowa jęknęła; z oddali słychać było niewyraźny gwar żórawi. W trawie coś szurnęło parę razy i usłyszałem, jakby krótkie, stłumione ryknięcie. Koźlątko kręciło się przy swym kołku, zabeczało żałośnie, jakby czując niebezpieczeństwo i ułożyło się wreszcie na ziemi.

Noc zapadła kompletna. Przez okno zeriby koźlę majaczyło mi się teraz jak cień czarny, ledwie widzialny. Spróbowałem zmierzyć się kilkakrotnie, lecz wśród kompletnej ciemności nie widziałem, ani muszki, ani szyny strzelby, ani nawet koźlęcia. W takich warunkach — myślałem sobie — o pudło nie trudno. Jaka szkoda, żem nie wziął akumulatora elektrycznego. Lecz teraz już zapóźno tego żałować*).

Czas płynął wolno wśród ciągłego naprężenia myśli i zmysłów, wśród tej tajemniczej ciszy, w jaką dżungla nas spowija. Naraz... koźlę fuknęło, potem drugi raz... Coś zaszeleściało... słychać było chrapanie duszonego zwierzęcia...

Było w tem coś tak przejmującego, że pomimowoli uczucie grozy ogarnęło moją istotą. „Assad, assad, ata, ata" (lew, lew, strzelaj, strzelaj) — powtarzał gorączkowo Mohamed. Lecz ja nic nie widzę, oprócz jakiegoś czarnego cienia, który ledwie mi się majaczy. Mierzę, lecz nie wiem, czy za wysoko, czy za nisko. Tymczasem Mohamed powtarza ciągle: „Ata, ata!" Naciskam więc cyngiel, przypominając sobie, że mi brzeg osady wypadał w samym kącie ust... Błysnęło przed oczami, rozległ się potężny huk dziesiątki, ciemność i cisza zaległy. Czekam z biciem serca, lecz wokół, jak w grobie. Mohamed daje mi znak ręką, że zwierz poszedł. Nabiłem wystrzeloną lufę i postawiłem strzelbę obok. Była wtedy godzina 9 a.

(D. c. n.)

(*Łowiec polski, Sztolcman*).

Niesamowity głuszec.

„Ależ w obec tego opis Brehma jest kredowoblady"! — wykrzyknąłem, gdy uszu mych dotarła pogłoska o awanturach, wyprawianych przez głuszca, w sąsiedztwie mego miejsca zamieszkania.

Po tym okrzyku atoli przyszła refleksya i ochłodnąwszy, zacząłem na zimno analizować, co fama niosła.

Podczas rozmyślań tych myśl moja wracała ciągle do Brehma, w szczególności do ustępu w „Życiu zwierząt", który żywo zachowałem w pamięci, a który mówi o tra-

*) Zobaczymy później, że ten akumulator zawiódł oczekiwania.

czach napadniętych w lesie przez głuszca. Ba! dobrze, ależ w niniejszym wypadku — chyba nieporównanie większe zachodzą dziwy.

Za miejsce miłosnych popisów miał sobie głuszec obrać chatę na wzgórzu, około 600 m. wysokiem, odległem około pół mili na północ od Trifail; tokuje on na strzesze tej chaty, wchodzi za mieszkańcami do jej wnętrza, pozwala się brać na ręce i t. d. „Nie to wprost nie do uwierzenia — to myśliwska łacina", starałem się wmówić w siebie i w ten sposób zrehabilitować poczciwca Brehma, któremu w pierwszym porywie — na wieść o pogłosce — mimowoli wyrządziłem krzywdę.

Dnia 7 kwietnia b. r., a więc w pierwszy dzień świąt Wielkanocnych, wyszedłszy popołudniu do lasu na przechadzkę, znalazłem się w pobliżu wspomnianej chaty i wnet stanęła mi w pamięci dziwaczna pogłoska. Rozumie się, że nawiedziłem małe domostwo, aby naocznie przekonać się, czy i ile w pogłosce było prawdy.

Gdy widocznie do wynurzeń nie bardzo skora mieszkanka chaty — dopiero na moje, manowcami do wybadania sprawy zdążające pytania, dała mi wprost szczerą odpowiedź: że wszystko jest prawdą, co moich uszu doszło — nikt się nie będzie dziwił memu zdumieniu.

A w odpowiedzi tej, brzmiącej cichą rezygnacyą, mieściło się niejako usprawiedliwienie, że w całej tej sprawie nie może być gosposi najmniejsza nawet wina przypisaną.

Nazajutrz nie pozwoliły mi zajęcia wydalić się z domu, więc zaraz 9 kwietnia wyruszyłem już o 3 godzinie rano, by oryginała własnemi ujrzeć oczyma. Było to wspaniałe zaranie. Pośród niczem niezmąconej ciszy — w łagodnem oświetleniu księżyca, zbliżałem się ku łagodnie, wznoszącemu się wzgórzu, za którem stoi samotnie, świerkowym lasem otoczona chata. Wkrótce byłem na górze; podchodziłem pełen oczekiwania ku cudownemu miejscu. Zwalniałem kroku a podwajałem przezorności, aby nie uronić ani jednego tonu z czarownych dźwięków, „telękania", które cudownością aryi wywołują u myśliwych drżenie. Zegarek wskazywał w oświetleniu księżyca trzy kwadranse na czwartą, świt zaledwie szarzał, — a chata ku której zbliżałem się przez gąszcze kukurydziane była nie dalej, jak o 300 kroków — gdy nagle rozlały się w powietrzu cudowne, tak dawno nie słyszane przezemnie dźwięki — zaledwie słyszalne, a jednak jak czyste. Teraz przyśpieszyłem kroku, nasłuchując z zatamowanym oddechem, dopóki właściwa melodya nie zabrzmiała w przestrzeni. Było to mniej więcej w chwili, gdy wyszedłszy z gęstwiny kukurydzianej, wstąpiłem na łąkę, która z tej strony otacza chatę. Teraz dopiero zaczerpnąłem tchu i raźnie poskoczyłem. Już zdali widziałem dziwaka na wysokiej, tuż przy chacie stojącej trześni.

Skoro dostałem się pod zwrócony ku mnie węgiel dość rozległej chaty, postąpiłem naprzód a zamieniwszy się cały w organ słuchu, łowiłem skrupulatnie właściwą melodyę. Robiąc po dwa kroki, przedostałem się pod niski przyczółek strzechy, a w ten sposób zbliżyłem się w prostym kierunku ku głuszcowi, który jak gdyby pozbawiony zmysłów, grał na gałęzi — ogołoconej z liści, zwróconej ku drugiemu węglowi chaty. Otóż wkrótce znalazłem się prawie w pionowej linii pod ptakiem i mogłem go obserwować, wychylając głowę z pod przyczółka. Stanowisko to jednak uznałem wkrótce jako niewygodne i postanowiłem w czterech do pięciu skokach dostać się na murawę rozciągającą się pod ptakiem — i tam przycisnąć się do gęsto gałęzistej, łagodnie pochylonej jabłoni. Zamiar urzeczywistniłem znakomicie i teraz mogłem — wygodnie leżąc — obserwować wspaniałego ptaka.

Wprawdzie ciągle jeszcze panowała raczej jaśń księżycowa, niż słoneczne przebłyski, lecz głuszec był w tak nieznacznem oddaleniu, zresztą nie zasłoniony przez gałęzie, że mogłem się przypatrzeć jego ruchom najdokładniej. Grając wpadał w szał coraz większy, a zauważałem wyraźnie, że wachlarz podnosił cokolwiek tylko intonując właściwą melodyę, podczas przygrywki zaś trzymał go prosto. A grał coraz zacieklej mimo, że w chacie zaniecono ogień i że było w niej słychać głośno prowadzoną rozmowę. Nagle skrzypnęły zawiasy i z trzaskiem otwarły się, zbite z desek, drzwi chaty. Ukazała się kobieta, która nie spostrzegając mnie zawołała: Tyś jeszcze tutaj, zawłoko?

Ten wcale nie ujmujący epitet sprawił tylko taki efekt, że głuszec począł wykonywać jeszcze w szaleńszem tempie ruchy i gesty, o ile rozumie się, ruchy i gesty poprzednio wykonane, dopuszczały w ogóle stopniowania. Kobieta weszła napowrót do chaty, a mając siedmdziesięcioletniego męża pociągnęła prawdopodobnie w myśli paralelę między zapałem młodych, a gnuśnością starych kogutów, która chyba nie wypadła na korzyść tych ostatnich, a tylko wywołała westchnienie u pięknej, tryskającej młodością i zdrowiem gosposi.

Wreszcie zaczęło się rozjaśniać i mogłem już wyraźnie rozpoznać szmaragdową, miłosnemi westchnieniami, wezbraną pierś głuszca. Gospodyni wyszła z chaty powtórnie i zawołała: Śpiewasz jeszcze, kogutku? Na to urwał. Zwracając długą szyję na wszystkie strony, spojrzał ku ziemi. Lękałem się, że umknie i serce biło mi z trwogi. I rzeczywiście — jakby mię spostrzegając — skierował w dół błędne oczy a nie zważając na nawoływania gospodyni: co ci jest, kogutku? zerwał się i załopotawszy skrzydłami, zapadł na wierzchołku zmierzwionej strzechy. Gospodyni darzyła go najczulszemi, pieszczotliwemi nazwami a on nastroszywszy piór zaczął ostrzyć z przerwami, a następnie wśród prychania, golgotania, przybierając pozy indyka — zręcznymi, pełnymi wdzięku ruchami zsuwał się ze strzechy, przysiadał przy jej stopach a potem zrywał się i z opuszczonemi skrzydłami zataczał w około niej kręgi, pląsając i grając jak szalony.

W tem kobieta ujrzawszy mnie, pozdrowiła życzeniem „dobrego dnia" a ja zaledwie ośmieliłem się oddać pozdrowienie, z obawy bym nie spłoszył głuszca. Wśród wybuchów śmiechu przywołała mnie bliżej i teraz byłem widzem przedstawienia, które nie wielu myśliwym przypada w udziele. Głuszec widocznie rozszalały wskutek mego zbliżenia — okrążał teraz nas oboje prychając, golgotając, wśród przerywanego chwilami grania. Przycisnąłem się do ściany chaty i obserwowałem swobodnie, hasającego na małem wzniesieniu głuszca. Gospodyni drażniła go w najróżnorodniejszy sposób: ciągnęła go wśród grania za nastroszone pióra gardzieli, przykrywała mu głowę chustą, chwytała go za wachlarz i t. p. Skoro atoli usiłowała wstąpić na zajmowany przezeń wzgórek, opuszczał skrzydła, podnosił wachlarz, nastraszał pióra i jak błyskawica gnał prychając ku miejscu, na które chciała się wydostać i wzbraniał przystępu uderzając dzióbem.



Koniec rozbójnika.

Teraz wyszedł z chaty człowiek w podeszłych latach i zaczął grającemu głuszcowi nadstawiać stary kapelusz z grubej pilśni. Rozszalały ptak rzucił się nań, wytrącił go dzióbem z rąk nadstawiającego i dopóty nie przestał go motłosić uderzeniami skrzydeł — dopóki nie usunięto odeń nienawistnego przedmiotu. Za chwilę ośmieliłem się i ja podrażnić ptaka — a to go bynajmniej nie spłoszyło.

Przeczekałem kilka zwrotek — które odegrał w oddaleniu pół metrowem a przy następnej, stanowiącej introdukcyę do właściwej melodyi — starałem się chwycić go za głowę. Głuszec ugodził mnie kilkakrotnie dzióbem w rękę. Gdy usiłowałem go chwycić w czasie przygrywki, wcale nie zważał na me, tuż przed jego oczami wyciągnięte palce, jakkolwiek oczy te, w ciągu ostrzenia były zawsze otwarte, co skonstatowałem, nachylając się doń.

Później podążył głuszec za gospodynią do wnętrza chaty, gdzie ciągle grając, pląsał po ławach i stołach, w kuchni i w izbie. Pokazała mi także gospodyni zbutwiałe drzwi kuchenne, skłute uderzeniami ptasiego dzióba. W ten sposób dawał głuszec wyraz niezadowoleniu, gdy niewiasta zajęta przyrządzaniem posiłku, nie zjawiała się, by wysłuchać miłosnej pieśni.

Wyszliśmy z chaty, a ponieważ było już około 6 godziny — udałem się do domu. W oddaleniu o 50 kroków, usłyszałem głos kobiety: Bóg z tobą, cyganie, przyjdź jutro znowu!

Odwróciłem się i ujrzałem, jak głuszec zdążał majestatycznie ku kukurydzy, znajdującej się cokolwiek wyżej wśród jodeł i sosen.

Gospodyni opowiadała mi również, że głuszec począwszy od 19 lutego b. r. co wieczór w pogodne dni zjawia się około chaty, zapada na trześni lub kasztanie i że gra tak długo, dopóki nie pogasną światła w chacie. Świtaniem zaczyna znowu grać i bawi dopóty, dopóki ktokolwiek zajmuje się nim i drażni go. Przebywa często do godziny 9 przed południem. Później słyszałem, że dzierżawca prawa polowania w tym rewirze, dyrektor fabryki p. Drasch, chce głuszca żywcem złowić i odesłać do Wiednia. Dowiedziałem się również, że zawodowy, czy też amator — fotograf, dokonał zdjęcia, na którem figuruje głuszec wraz z chatą i jej mieszkańcami.

Pierwszej wiadomości o tym szaleńcze udzielił nam sprawozdawca nasz p. Adolf Pacher ze St. Katharina-Trifail, uzupełnił je zaś 25 kwietnia b. r. pisząc: Głuszec, o którym już wam wzmiankowałem, szaleje dalej, a każdy dzień zwiększa jego zaciekłość. Teraz już całe dni przepędza w pobliżu chaty, jeżeli gospodyni przebywa w domu. Tylko w godzinach południowych spędza krótkie chwile pośród swego haremu, który wałęsa się w bliskich gąszczach kukurydzianych. Tam to odlewa wezbraną, realistyczną lawę... z czeluści, erotycznym wybuchem wstrząśnionego wulkanu. Ucztuje w obliczu licznie zgromadzonych ciekawskich, w pobliżu chaty, na łące. Łąka ta upstrzona żółtymi kwiatami zadaje oczywisty kłam wszelkim teorematom o estetycznym doborze barw, lecz głuszec chcąc widocznie podtrzymać teoryę, głoszącą, że zieleń nie harmonizuje z żółcią — spasł prawie doszczętnie wszystkie kwitnące jaskry. Skwapliwie także spożywa koniuszki świerkowych gałązek u brzegu boru. Nie do uwierzenia w istocie, co wyrabia ten półgłówek i byłbym z pewnością temu nie dał wiary, gdybym nie był wszystkiego widział własnemi oczyma.

Dnia 23. kwietnia b. r. rozdrażnił głuszca niejaki Karol Poh, leśny gwarectwa Trifail, podsuwając mu kapelusz pod oczy — a gdy się następnie zgiął, wyskoczył mu głuszec na grzbiet.

W tej pozie zdjął obu dyrektor fabryki, Drasch. Jest to drugie, czy też trzecie z rzędu zdjęcie; poprzednio jak już wspomniałem, został głuszec odfotografowany wraz z chatą i jej mieszkańcami. Mieszkając w St. Katharina, a więc w sąsiedztwie, mam często sposobność odwiedzić chatę na wzgórzu i nacieszyć się widokiem szalejącego ptaka.

Do chaty na wzgórzu odbywają się literalne pielgrzymki niedowiarków z całej okolicy, ciągną nawet pątnicy z Lublany, wszyscy jednak odchodzą przekonani. Nie zbywa także na datkach dla gosposi; uciułała już z tego tytułu — ku wielkiej swej uciesze, około 10 koron.

Dnia 29. kwietnia otrzymaliśmy następujący przyczynek do poprzednich sprawozdań: Przy chacie na wzgórzu dzieją się rzeczy, wprost na cud zakrawające. Dnia 28. kwietnia, w niedzielę, zgromadziło się tam w biały dzień z pewnością z górą sto osób; niektórzy przybywają jedynie w tym celu, by się później mogli pochwalić, że widzieli głuszca na własne oczy. Zjawił się również burmistrz z Trifail, inspektor szkolny v. Gosleth i inni, aby ujrzeć cudackiego ptaka. Natomiast wśród chłopstwa i między górnikami krąży już niepokojąca pogłoska, że kogut „nie samowity“. Z wyrazem przestrachu w oczach — wyznał mi sąsiadujący ze mną, spensyonowany górnik, że patrząc na głuszca, przeliczał paciorki trzymanego w ręku różańca.

Nie badałem, czy go do tego spowodowała okoliczność, że miał przed sobą „zakonnika“ — czy też chciał zażegnać „nieczystą moc“.

U tych ciemnych warstw wyawansowała już mieszkanka chaty na czarownicę, która kominem wylatuje na ożogu, by odprawować nocą na „Łysej górze“ tajemnicze praktyki; z męża jej zrobiono czarownika, a w głuszcu widzą — wcielonego w ptasie kształty szatana.

Ptak ten tak się zadomowił w chacie na wzgórzu i tak przylgnął do jej mieszkańców, że gospodyni sprowadza go, skoro tylko ktokolwiek chce go ujrzeć. Potrzebuje tylko zbliżyć się do gęstwiny sosnowej i zawołać: cyganie, cyganie! by głuszec natychmiast się zjawił. Uciekającą pozornie kobietę ściga wytrwale, wdzierając się za nią do kuchni, izby i t. d. i pozostaje z nią tak długo, jak długo go drażni i nim się zajmuje. Zresztą pozwala się drażnić komukolwiek; leśnemu wzlata na ramię, a nawet siada na głowie.

W niedzielę, gdy mieszkańcy cały dzień spędzają w chacie wałęsa się koło niej ustawicznie; w dni powszednie zjawia się tylko wieczorami, przenocuje na trześni lub też na pobliskim kasztanie i znika po odegraniu rannego koncertu.

(*Waidmannsheil*).

Pojechał do ślubu na rogaczu.

Dawne wspomnienia myśliwskie.

Wielka radość panowała w gminie, rozsiadłej u podgórza karpackiego, gdy umundurowany woźny sądowy wręczył wójtowi, opieczętowany list, zawierający wyrok ostatniej instancyi przyznającej sprawę. Chodziło tu o służebność na kilkuset morgowym, wyciętym lesie, którą przez niedbałość i pobłażliwość właściciela, przywłaszczyła sobie gmina, a raz wszedłszy w używanie, długoletnim procesem ją wywalczyła.

Aktem powyższym przyznano gminie nietylko zrąb, lecz ku najwyższej radości i dumie gospodarzy — wolne polowanie, to jest, że od tej chwili mogli nowi właściciele wszelką zwierzynę znajdującą się na obszarze wyprocesowanego lasu wybić do nogi, bez obawy spotkania zapory ze strony znienawidzonej straży leśnej. Tem więcej pochlebiało to chłopkom, iż na wzór dziedzica, będą mogli wyprawiać polowania, zapraszać sąsiadów i proboszcza, który nie żyjąc dobrze z dworem, ukradkiem podjudzał gminę do procesów.

Więc wnet cały arsenał różnorodnej broni palnej wypłynął na jaw w gminie; jedni wyciągali pochowane w dziupłach drzew, lub w stogach stare podrutowane samopały, drudzy nabyli śpiesznie u usłużnych żydków w miasteczku wyszłe z użycia w armii karabinki, a nawet ci, którzy nie czuli zamiłowania do myśliwstwa, hołdując dziś św. Hubertowi, opatrzyli się w torby i manierki, aby nieść posiłek towarzyszom i choć tem zamanifestować w obec dworu równouprawnienie łowiectwa.

Strumieniem płynęła posoka z ubitego zwierza, a w całej osadzie nie było jednej chaty, w którejby na stole nie kurzyła się pyszna zwierzyna.

Jednakowoż oszołomienie radosne nie długo trwało pomiędzy świeżo kreowanymi miłośnikami łowiectwa, bo wnet nastąpiły dni gorżkiego rozczarowrnia. Zarząd dóbr w chwili, gdy gmina weszła w posiadanie spornego lasu, zrzekł się dzierżawy prawa polowania na gminnych obszarach i nakazał ogłosić, iż od tego dnia nie odpowiada za szkody, przez zwierzynę gminie wyrządzone. Dalej adwokat, nadesłał gminie sążnisty rachunek, a urząd podatkowy zaczął się upominać o zwiększony znacznie podatek. Nadleśniczy polecił odprawić fury, które gmina wysłała do pańskiego lasu po zakupno paliwa i materyałów, a leśni którzy wprzód patrzyli przez palce, gdy dzieci i kobiety zbierały grzyby, poziomki lub maliny, obecnie ściśle wykonywali przepisy łasowe, — żandarmerya częściej nachodziła wioskę, żądając od włościan kart na broń, a w braku tychże, karała władza polityczna grzywnami lub aresztem.

Uparte i twarde łby, poczęły mięknąć, lecz pomimo tego duma chłopska nie dopuszczała do zgody. Upokorzyć się w obec dziedzica, którego poprzednie propozycye hardo odrzucono, było trudnem zadaniem.

* * *

W pośród tej wojny domowej, najdotkliwiej ucierpiały dwie osoby zamieszkałe we wiosce a temi były — Marysia, urocza córka wójta Iwana Zabłody i dworski strzelec, Michał Rusiak. Marysi serduszko biło silniej, gdy obaczyła w dali przechodzącego Michała, zaś Rusiakowi — niebieskie, jak niezabudki oczka ukochanej, stały bezustannie w poprzek lufki, tak, że od jakiegoś czasu pudłował zwierzynę ku wielkiej radości całej służby leśnej, gdyż Michał liczył się do najcelniejszych strzelców i pomimo lat 26 posiadał w dzienniku myśliwskim imponującą cyfrę ubitej, grubej zwierzyny.

— Iwan Zabłoda, dość przychylnie patrzał na gruchanie młodej pary, tem więcej, że strzelec dworski, znając namiętność myśliwską wójta, nigdy wprzód nie wchodził mu w drogę. Jednakże gdy gmina wygrała proces i stała się właścicielem spornego lasu wraz z prawem polowania, nastąpiła nienawiść strony poszkodowanej, to jest dworu, — więc i Michał Rusiak, był zmuszony zmienić postępowanie w obec ojca Marysi, bo nadleśniczy polecił surową kontrolę. Tu — Iwan Zabłoda zapałał nienawiścią; dom wymówił i nakazał córce zerwać wszelkie stosunki z ukochanym. Bo jakże poważył się ten młokos wściubiać nosa do lasu w chwili, gdy stary wójt podchodził postrzelonego dzika, lub śledził za farbą rogacza.

Polowania na dzikie gołębie, kuropatwy i zające, którymi zrąb wyprocesowanego lasu był zapełniony, nie mogła służba leśna wzbraniać, — lecz biada temu, który poważył się dziki i sarny, tropić po zagranicą, gdzie liczna straż dworska bacznie strzegła i karała surowo przestępców.

Córka wójta nie poważyła się wbrew zakazowi ojca rozmawiać z Michałem, — jedynie gdy przechodził obok ich domu, spojrzenia ich pełne uczuć krzyżowały się i zaprzysięgały sobie wierność.

— Lamenty i narzekania nie miały końca. w całej gminie nastały dni ogórkowe, a pomimo, że na radzie starszyzna radziła nad polepszeniem stosunków, gwałtowność zaciętych przeciwników wraz z wójtem na czele, upornie sprzeciwiała się wszelkim rokowaniom z dworem.

Marysia biedna posowiała nie do poznania, przędąc przy oknie, zamiast wesołej pieśni, którą niegdyś jak ptaszyna zapełniała całe domostwo, — siedziała zadumana, i łkając ukradkiem ocierała łzę rozpaczy; — nitki przędzy się rwały, a matusia spozierała smutnie na swą ukochaną doczkę, gładziła jej złotoblond włosy i pocieszała jak mogła. Stary wójt chodził ponury i jak dzik postrzelony rzucał się, pieniąc z wściekłości na tego, który poważył się wspomnieć o Michale Rusiaku.

— Tak stały rzeczy, gdy po ciężkich sześciu miesiącach, pewnego jesiennego poranku, w chwili gdy Marysia zabierała się do zajęć domowych, przywołał ją ojciec do siebie, i rzekł do przelękłej tak uprzejmym i łagodnym głosem, że dziewczę własnym uszom wierzyć nie chciała, a trąc oczy — pytała w duchu, czy śni lub marzy.

— „Słuchaj no Marysiu, — my musimy powrócić do dawnych stosunków, gdyż inaczej źle z nami będzie".

Dziewczę słuchało z natężoną uwagą, a nadzieja świeciła w jej dużych, niebieskich oczach.

— „No — ty rozumiesz, co chcę przez to powiedziec"? — rzekł stary niecierpliwie.

— „Ależ tatusiu, — skądże ja mogę"...

— „Tfu do czorta! — spojrzej do lustra, — wyglądasz jak Matka bolesna".

Marysi oczy napełniły się łzami, i duże dwie perły spadły na jej wybladłe liczka.

— „No — no — moja holubeńko", rzekł stary z rozczuleniem, i przycisnął jej małą główkę do piersi. Może się wszystko i na lepsze zmieni; — słuchaj mnie więc

z uwagą. My musimy Rusiakowi podać rękę do zgody, ale nie nadużywaj zezwolenia, — rozumiesz? Wkrótce będziemy potrzebowali drzewa na opał, a i szopę nową godziłoby się postawić, bo u starej slupy i podwaliny spróchniałe, — gdy więc ze służbą leśną poprawimy stosunki, to cenę nam zniżą i lepsze drzewo dadzą. Sądzę, że to nie zaszkodzi, gdy ty mi do tego dopomożesz, i sama — tak od niechcenia — zaczepisz Michała; — możesz mu nawet podszepnąć, aby dziś wieczorem czekał jak dawniej u płotu koło starego lamusa w sadzie, gdzie pewna Marynia z nim pogawędzić pragnie. — Ty ją znasz — tę Marynię — nie prawdaż?

— Ja idę dziś przed zachodem słońca na zrąb, śledzić dziki, może mi się uda, udławić którego, — będziecie więc mieli dużo czasu do gawędy.

— Marysia dech zaparła, a twarz świeciła radością, chciała się ojcu rzucić do kolan, lecz stary znikł z chałupy, nie czekając odpowiedzi.

— Dziewczę chwilę stało zamyślone, gdyż przypomniało sobie opowiadanie ojca dniem przed tem. Tu nie chodziło o dzika, lecz o pysznego rogacza, którego wójt z narażeniem wolności dostać zamierzał.

„Niech się dzieje co chce“, — powiedział namiętnością myśliwską party „muszę tego pysznego rogacza ubić, chociażbym miał ze służbą leśną krwawy bój stoczyć“.

— Wołanie matki obudziło ją z zadumy. Radość zbliżenia się do ukochanego i obawy o ojca, zaprzątały jej piękną główkę. Pośpieszyła do izby, aby matce dopomódz w zajęciach domowych, lecz robota nie szła.

— Gdy 8-ma powolnem tętnem wybiła na starej wieży klasztoru Kapucynów, dziewczę wymknęło się z izby i pognalo w stronę sadu, gdzie lamus omszony i przybity do ziemi, stał na czatach obok bocznej drogi wiodącej do lasu.

Zmrok zapadał; na horyzoncie czerwona tarcza zachodzącego słońca, ozłacała w dali pasmugę lasu, a ptaki sennem świegotaniem odmawiały wieczorną modlitwę, udając się na spoczynek.

Marysia stała chwilę u płotu dech zapierając i nadsłuchując, — prawą ręką przysłaniała oczy, chroniąc je od rażącego światła, zaś lewą przyciskała silnie bijące serce. Śliczne było dziewczę w tej chwili, — jej delikatne liczko, zarumienione jak wiśnia, duże niebieskie oczy iskrzące wzruszeniem, złotoblond włosy oblane światłem zachodzącego słońca i zgrabna figurka, której plastyczne formy rysowały się artystyczną linią, — tworzyły w całości uroczy obraz. W tem w dali od lasu przygnał wiatr naszczekiwanie psa, — Marysia drgnęła — jakby magnetyczną siłą tknięta, — a zapierając oddech liczyła sekundy.

Raptownie z krzaków wyskoczył Bekas — jasnożółty legawiec z białą płatką pod szyją, — stanął — spostrzegł dziewczynę, pognał wprost ku lamusowi i skomlac począł się u nóg jej łasić. Za psem ukazała się w cieniu piękna postać Michała. Młodzieniec smukły jak jodła z twarzą smagławą, z wyrazem energii i sprytu — szedł zamyślony ze spuszczoną głową; — zapewnie marzył o dziewczynie, której zaprzysiągł wierność, a ta go opuściła. Wnet jednak przeczuciem pociągnięty podniósł głowę — oczy ich się spotkały i w mgnieniu oka młodzieniec już trzymał ją swoich objęciach.

Marysia przez chwilę zapomniała o bożym świecie i straciła głowę... gdyż wpierw nigdy Michał nie pozwolił sobie zbliżyć się w tak gwałtowny sposób. Opamiętawszy się, wysunęła się zgrabnie z objęć ukochanego — i z nerwowym pośpiechem poczęła opowiadać spotkanie z ojcem, jego dzisiejszą wyprawę do lasu, możebne zajście ze służbą leśną i t. d. — a kończąc rzekła, podając mu czule rękę:

— „Twoja miłość ku mnie wskaże ci drogę do uchronienia ojca od niebezpieczeństwa, które mu tem więcej zagraża, gdy trafi na twoich kolegów. Powracaj więc śpiesznie do lasu i spełnij twoją powinność serca dla Marysi, która ci kiedyś wynagrodzi twe trudy“.

Młodzieniec uścisnął serdecznie jej rękę, a wpatrując się czule w jej cudne oczy — odrzekł:

— Twemo ojcu włos z głowy nie spadnie, — lecz równocześnie tym zwadom gminnym, musimy już raz koniec położyć. Nasz hrabia obwinia p. nadleśniczego o brak energii w układach z gromadą, a ten — całą żółć wylewa na nas. Chałupnicy cierpią nędzę, umysły ich się burzą i lada chwila mogą wykonać swą zemstę na majętniejszych, a osobliwie na twoim ojcu, gdyż tylko bogacze i wójt, stoją upornie, i nie dopuszczają do ugody z dworem“. Wyjaśnienia Rusiaka, widocznie trafiły do przekonania Marysi, bo czuły całusek, dany ukradkiem, potwierdził dosadnie wprzód dane przyrzeczenie.

* * *

— Przy zapadającym zmroku, skradał się Jan Zabłoda ku polu kukurydzy, gdzie zwykle w tej porze wychodziły sarny na żer z lasów dworskich.

Michał Rusiak wraz z swoim kolegą i przyjacielem, Władysławem Kozickim, zasiedli już poprzód opodal w krzakach, czatując na starego wójta. Psy legawe, które mogły łatwo zdradzić ich obecność, pozostawili w domu.

Musieli długo czekać, nim rozważny rogacz zdecydował się opuścić spokojne i pewne legowisko w obszernych kniejach.

Już księżyc wysunął się z poza szczytów podgórza karpackiego i swem śrebrzystem światłem oblał pola i łąki, stare dęby występowały na zrębie w tym świetle jak olbrzymy w pośród liliputów, którymi zrąb był zasiany, sowy przelatujące za łówką, swem radośnem nawoływaniem, a gdzieniegdzieś zapóźnione słonki chrapaniem — przerywały poważną ciszę.

W tem w dali silny głos, podobny do szczekania ochrypłego psa odezwał się, i wszystko ucichło — nawet sarny, które już poprzód w zaufaniu swej nietykalności pasły się spokojnie na oziminie, — podniosły głowy i nadsłuchiwały; tylko w piersi wójta silnie zakołatało serce, gdyż po poważnem beczeniu poznał starego rogacza, o którym marząc nie jedną noc bezsenną przepędził.

Mieszkaniec głębokich borów zatęsknił za słodką kukurydzą i zdecydował się odwiedzić sąsiednie, gminne pola. Wietrząc z dala, wysuwał się powoli z kniei, — u brzegu stanął — i raz jeszcze na wszystkie strony począł się rozglądać. Prześliczny był w swoim majestacie, a jego wyniosła postać rysowała się w blasku księżyca z całą dokładnością, tak, iż nawet i mniej biegły strzelec mógł z łatwością posłać mu celną kulę w upominku.

Iwan, zamiast skorzystać z chwili, stał bezczynnie, zachwycając się rogacza urodą, — i dopiero — gdy tenże jednym susem wskoczył do łanu kukurydzy, — strzelił nerwowo.

— Wprawdzie zwierz zaznaczył, lecz widocznie nie otrzymał strzału w komorę, bo na miejscu nawrócił i szalonym pędem znikł w kniei.

— Iwan chwilę stał w osłupieniu, — poczem gorączka myśliwska oślepiła go i jak strzała pognał w lasy dworskie.

„No, teraz na nas kolej“, szepnął strzelec Michał, do swego kolegi i obaj cicho podsuwali się w stronę, gdzie wójt im z oczu zniknął.

Jasne światło księżyca umożliwiało dochodzenie rannego rogacza, który pokładał się i zrywał, chcąc z wysileniem ratować swe zagrożone życie. Jednak zapasy te, nie trwały długo, potknął się na złomie osiki i runął w parów. Stary wójt zadyszany pogonią — stanął, — zmierzył się i posłał mu kulę, — zapewne trafną, bo rogacz nie ruszył się z miejsca.

— Gdy Iwan nie tracąc czasu zabierał się do ostatniej czynności myśliwskiej i już piękny w sarni róg oprawny kordelas z pochwy wyciągnął, — usłyszał nagle głos dobrze mu znany — i zadrżał z przerażenia.

„Dobry wieczór, ojcze Zabłodo, — nie gniewajcie się, że przerywamy wam chwilę najsolenniejszą dla myśliwego“, — rzekł Michał Rusiak głosem spokojnym, gdy jego kolega dodał wesoło:

„No — teraz mamy was w naszej mocy, panie wójcie, — lecz chodzi tu obecnie o to, w jaki sposób tak ciężkie *corpus delicti* dostawimy do powiatowego sądu“.

Iwan Zabłoda poczytując przyjazne żarty — za urąganie, chwycił dubeltówkę, oczy wystąpiły dziko z oprawy i pieniąc się ze złości wrzasnął bezprzytomnie:

— „Rogacz ten jest moją własnością, a kto poważy się mnie go wydrzeć, życiem to przepłaci“!

Lecz nim zdołał wypowiedzieć tę groźbę, już Michał wyrwał mu strzelbę z ręki i rzekł spokojnym tonem:

„Tylko bez gwałtów, ojcze Iwanie, dubeltówka bez nabojów, nie jest już wam potrzebną, a u mnie pozostanie przechowaną jak relikwie, o to możecie być spokojni“.

— W furyi chciał się wójt rzucić na Michała, ale w chwili tej dwoje rąk chwyciło go z tyłu tak silnie, iż nie mógł się z miejsca ruszyć.

„Władziu, zwolnij ręce pana wójta“, — rzekł Rusiak do swego kolegi, tonem decydującym. Tak, — a teraz ojcze Zabłodo, pomówmy spokojniej i radźmy w jaki sposób moglibyśmy tę sprawę, bez rozgłosu załagodzić. Złapaliśmy was obecnie na świeżym uczynku, a to w chwili, gdyście za postrzelonym rogaczem wkroczyli w knieję dworską, gdy więc sprawa ta stanie przed sądem, to nie ujdziecie srogiej kary pieniężnej a co gorsze aresztu“.

— „A gdy zaprzysięgnę, że nie chciałem rogacza dla siebie zachować, lecz dostawić go do nadleśniczego“.

— „Nikt żyw nie uwierzy wam — panie wójcie“ odpowiedział Włodzimierz, a Michał dodał:

— „I żaden sąd nie przyzna wam słuszności — Boże broń, aby aż do tego doszło, tylko raczcie mnie spokojnie wysłuchać. Wy sami panie wójcie czujecie to w głębi duszy, że stosunki w gminie są naprężone i tym podobny stan nie może potrwać dłużej, przeciwnie wszyscy radzi byliby, aby się ukończyły te zwady, lecz nikt nie chce zrobić pierwszego kroku do ugody. Więc gdy przyrzeczecie mi ojcze Zabłodo, że jako głowa gminy i osoba pełna wpływów, przychylicie się do tego, — to wnet ugoda pod wiadomymi warunkami zawartą zostanie, zapanuje spokój w wiosce, a o dzisiejszem zajściu z rogaczem nikt się nie dowie, na to daję wam moją rękę“.

Rogacz jakby zrozumiał, że o jego skórę chodzi, podniósł głowę. Zapewne w gorączce wójt raz drugi chybił i zwierz gdy runął potknąwszy się na osice, wskutek ubytku krwi po pierwszym strzale stracił przytomność. Nikt tego nie zauważał, tak byli zajęci wspólną zwadą.

Nadmierne wzruszenie, którem przed chwilą uniósł się Iwan — oddziałało tak na nerwy, że mimowoli wyszeptał:

„Niech więc i tak się stanie, — ugoda zostanie zawartą“.

„Przewybornie“! — wykrzyknął uradowany Rusiak, a zwracając mu dubeltówkę dodał:

— „Oddaję wam, waszą broń — a teraz dalej do dzieła ojcze Zabłodo“.

„Pozostaw mi wolne działanie, to moja rzecz. — Dobranoc“, — i nie czekając na odpowiedź, nie spojrzawszy na obecnych strzelców chciał spiesznie odejść, lecz kolega Michała zaszedł mu drogę i uśmiechając się złośliwie rzekł:

— „Zatrzymajcie się panie wójcie, jeszcze słówko na dobranoc. Do ugody pomiędzy wami a moim kolegą, muszę jeszcze za niego parę słów dorzucić, gdyż widzę że czyniąc swą powinność jako wierny oficyalista dworski, zapomniał zupełnie o sobie; otóż ja proszę was w jego imieniu o rękę waszej córki Marysi, a gdy odrzucicie moją prośbę, to sam jutro rano — na moją własną odpowiedzialność — wniosę podanie do sądu“.

Rusiak wzrokiem przyjaźnym podziękował koledze, lecz w spojrzeniu tem malowała się obawa o poprzednią ugodę i w samej rzeczy Zabłoda, który obecne upokorzenie przypisywał Michałowi, zaperzył się i wykrzyknął z furyą:

— „Co?! — Rusiakowi mam dać moją córkę? — za to że mi zawsze w drogę włazi i dziś zmusił mnie do upokorzenia! — Nie! nie!... Sto razy nie!

Włodzimierz jednak niewzruszenie stał na ścieżce i jak kleszczami cisnął rękę starego:

— „Tylko spokojnie panie Zabłodo, nadmierne wzruszenie jest zabójcze w waszym wieku. Słuchajcie mnie więc z uwagą. Otóż, powtarzam wam raz jeszcze, że gdy nie oddacie ręki Marysi Rusiakowi, to święcie podanie wniosę, a może nie będzie wam zbyt przyjemnie, znaleść się w towarzystwie innych kłusowników i z nimi powędrować do aresztu.

— „To podaj! — Niech się stanie, co się stać miało, lecz ja nie dam się tak podstępnie zmuszać i za moją wolność, frymarczyć ręką mojej córki. Nie! nigdy — przenigdy! Bóg nas rozsądzi“!

Szamotając się z Włodzimierzem powtórnie chciał odejść, lecz Michał zatrzymał go jeszcze, a biorąc jego rękę, przemówił łagodnie.

— „Uspokujcie się ojcze Iwanie, raz dałem słowo, że wyswobodzę was i dotrzymam go święcie; prędzej utracę miejsce a niedopuszczę, aby ojciec Marysi był tak ohydnie zhańbiony w obec dziedzica, gromady i okolicznych włości“.

Włodzimierz mruknął pod nosem „waryat“ — i dodał głośno w rozdrażnieniu:

— „No — gdy tobie jest Marysia, już tak obojętną — ha! to niech pozostanie przy waszym układzie;

niech biedne dziewcze wypłacze swe cudne oczęta. Ty nie masz serca Michale“.

— Łzawe oczy ukochanej córki, które czyniły staremu głęboki smutek, jej wybladłe pełne cierpienia i tęsknoty liczko, stanęły Iwanowi w myśli i sprawiły raptowną zmianę.

Pierwszy raz przyszedł do tego przekonania, że Rusiak broniąc mu kłusownictwa, nie czynił to z zawiści, lecz z uznania obowiązku w obec swego chlebodawcy. Pod temi wrażeniami znikł upor i głosem miękkim zapytał Michała:

— „Powiedz mi szczerze Michale, kochasz ty Marysię szczerze i czy uczynisz ją tak szczęśliwą, jak na to zasłużyła“?

— „Tak, kocham ją nad życie i uczynię szczęśliwą o ile mi na to sił starczyć będzie, — na to przysięgam! a oraz przyrzekam, iż gdy zostanę leśniczym, to pewno memu zacnemu ojcu, nie będzie zbywać na łowieckiej rozrywce“.

Iwan Zabłoda uścisnął serdecznie podaną mu dłoń, i rzekł rozczulony:

— „Ha! — to niech się dzieje wola Boża, Marysia jest twoją; — zawdzięczasz rogaczowi moje zezwolenie“, dodał uśmiechając się przyjaźnie.

— „Wiwat! — taką ugodę podpiszę“, — wykrzyknął radośnie Włodzimierz, ściskajac na przemian Michała i wójta.

— „Teraz Rusiak, jak na strzelca przystoi, pojedzie do ślubu na rogaczu“.

— Wszyscy trzej byli tak zajęci przywróceniem zgody domowej i szczęściem serc zakochanych, że zapomnieli zupełnie ubitego rogacza, lecz jakież było ich zdziwienie, gdy obaczyli nieboszczyka stojącego w wąwozie, a gdy chcieli ku niemu podejść, zwierz z całą dawniejszą sprężystością wyskoczył na drogę i zniknął w gąszczu z oczu zdumionych zapaśników“.

— Bóg sam dopomógł nam do zatarcia tej sprawy, — szepnął Rusiak.

— „Niech się dzieje wola Boża, — dodał stary wójt, — zdejmując kapelusz, i począł szeptać wieczorną modlitwę.

— — — — — — — — — — — — —

— Parę miesięcy upłynęło; — dziedzic był rad z doszłej ugody z gminą.

— Nadleśniczy odzyskał dobry humor a czując moralny obowiązek w obec strzelca Michała Rusiaka wnet nadał mu w tym samym rewirze opróżnione miejsce leśniczego, w którym rogacz nieśmiertelny podkurowawszy się, zajadał jak dawniej gminną kukurydzę, za którą dwór sowicie opłacał. Marysia nadobna gosposia, nie raz przyjmowała w dworku stylu szwajcarskiego — starego ojczulka, którego Rusiak stosownie do przyrzeczenia, zapraszał na polowania dworskie, wyrobiwszy do tego u dziedzica specyalne zezwolenie.

* * *

Często i ja polowałem w tych rewirach, a w pośród drużyny myśliwskiej wieczorem przy kominku, opowiadano mi o nieśmiertelnym rogaczu, któremu zawdzięczał dziedzic zakończenie niemiłych mu sporów, — a zakochana para szczęście i całą przyszłość.

Henryk Łączyński

Korespondencye.

Mondzielówka, 24. czerwca 1901.

Ze wszystkich rodzajów kłusownictwa może najdotkliwsze szkody w zwierzostanie wyrządza niezawodnie wybieranie jaj z gniazd. Rodzaj tego kłusownictwa w innych prowincyach Austryi, jest bardzo ostro karanym i zupełnie słusznie, bo najtrudniejszy do wyłapania, największe przynosi szkody. U nas we wschodniej Galicyi rzecz się ma wręcz przeciwnie. Za wybranie dwóch gniazd jaj kuropatwich, skazało starostwo kłusownika na najniższy wymiar kary, ustawą dozwolony. Nie umię sobie tego inaczej wytłumaczyć, jak że wyrokujący musiał być wielkim amatorem jajecznicy.

Józef Krzyształowicz.

Tarnów, 23. czerwca 1901.

Szanowna Redakcya umieszczając w Nr. 12 „*Łowca*“ z dnia 15. czerwca b. r., doniesienie p. leśniczego Geibla o utopieniu zająca przez jego legawca, przytacza także pytanie tegoż, co mogło spowodować psa do czynu tego. Że byłem świadkiem podobnej egzekucyi mego legawca, zgadzam się z przypuszczeniem p. Geibla, iż pies uczynił to w zamiarze pozbawienia zająca życia; ale nie dla tego, że kwilenie zająca drażniło nerwy jego, lecz ponieważ miotanie się zająca w podrygach śmiertelnych utrudniało psu aportowanie. Dzień, w którym legawiec mój odbył podobną „mokrą egzekucyę“, był dla niego bardzo feralny, a w niepowodzeniu swem okazał tyle sprytu i dowcipu, że go prawdziwie podziwiałem. Zmierzałem ku łące, gdzie lubiały żerować kszyki. Wtem ujrzałem na kopicy siana jastrzębia olbrzymich rozmiarów. Pomimo znacznej odległości strzeliłem i jastrząb spadł na ziemię. Pies pobiegł ku niemu, a zaatakowany drapieżnik wbił szpony swe w głowę i szyję psa tak silnie, że nie zdołałem ich rozerwać. Pies skowycząc z bólu puścił się naraz cwałem wlokąc jastrzębia do pobliskiego zboża i wrócił wnet do mnie pozbywszy się nieprzyjaciela. Przewidywał oczywiście, że źdźbła i kłosy bijąc przeciwnika po głowie i oczach zmuszą go do wypuszczenia biednego psa z objęć swoich. Lecz nie koniec na tej jednej przygodzie — jak się pocznie niewieść, to zwykle następuje jedna katastrofa po drugiej. Kszyków — na łące nie było; więc zwróciłem się ku domowi i wszedłem w łan ziemniaków, obok którego płynął strumień. Pies począł wnet ściągać, wreszcie stanął, a z przed niego wyruszył zwierz, którego nie widziałem, bo go kryła bujna nać ziemniaków. Myślałem, że to zając i strzeliłem na chybił trafił w miejsce, gdzie się nać ruszała. Pies skoczył za zwierzem i znowu boleśnie zaskowyczał. Pospieszyłem ku niemu, ale zanim doszedłem do niego, puścił się w poprzek zagonów ku wodzie. Jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem psa mego stojącego w potoku z pochyloną głową ku powierzchni wody. Dopiero zbliżywszy się do niego poznałem, co się stało. Oto postrzeliłem kota domowego, którego pies chwycił, a kot tak się przyczepił pazurami do niego, że nie mógł się go pozbyć — w tej chwili zdobył się na genialny pomysł utopienia kota. Wlazł więc do wody i przechylił tak głowę, że nos jego był nad wodą, a łeb koci pod wodą. To

skutkowało, bo za chwilę poniosły fale kota ku Dniestrowi. Była to najsmutntejsza wyprawa myśliwska w życiu mojem, bo wróciłem z próżną torbą, a biednego psa mego nie mogłem dłuższy czas wyprowadzić w pole, tak był poraniony. *Jan Kornicki.*

Walne zgromadzenie gal. Tow. łowieckiego

i premiowe strzelanie.

Przewodniczący prezes Towarzystwa Exc. Roman hr. Potocki. Na sali obecnych **20** członków Towarzystwa. Przewodniczący zagaja posiedzenie, wskazując na sprawozdanie z czynności Wydziału, umieszczone w Nr. 12 „*Łowca*“, które zawiera krótkie skreślenie działalności Towarzystwa w drugiej połowie zeszłego i pierwszej połowie bieżącego roku. Od odczytania protokołu z ostatniego Walnego zgromadzenia, jak również od odczytania sprawozdania z czynności, uwalnia zgromadzenie sekretarza, ze względu na to, że oba te akta są w całości w „*Łowcu*“ wydrukowane. Do tego punktu porządku nie zabiera nikt głosu.

P. Szczerbicki referuje następnie zamknięcie rachunków za r. 1900 i preliminarz na r. 1901. Głosu nikt nie zabiera — zgromadzenie udziela Wydziałowi absolutoryum i przyjmuje preliminarz bez zmiany. Następuje wybór do Wydziału w miejsce ustępujących członków i zastępców. W myśl wniosku Wydziału podanego w sprawozdaniu, wybiera zgromadzenie członkami Wydziału pp. Hirscha, Exc. Witolda Korytowskiego, ks. Andrzeja Lubomirskiego i Franciszka Szczerbickiego, jako zastępców wylosowanych pp. Czapelskiego i Rosenberga.

Z porządku dziennego następuje sprawa zmiany statutu, w tym kierunku, aby Wydział wzmocnić godnością jeszcze jednego wiceprezesa, i to zamieszkałego we Lwowie, celem zapewnienia szybkiego załatwiania spraw wymagających pośpiechu. Uchwalono jednogłośnie przedłożony przez p. Krogulskiego wniosek odpowiedniej zmiany §. 18 i 24 obecnego statutu.

Z kolei referuje wiceprezes Czarkowski-Golejewski sprawę kongresu myśliwskiego, zwołanego przez wiedeński „*Jagdclub*“ na dzień 9 marca 1901. Referat ten opiewa:

„W lutym b. r. otrzymało Towarzystwo łowieckie zaproszenie do wzięcia udziału w powszechnym kongresie myśliwskim, mającym się odbyć we Wiedniu d. 9. marca 1901, a zainicyowanym przez wiedeńskie towarzystwo myśliwskie pod nazwą „*Wiener Jagdclub*“.

Delegatem na ten kongres zamianowanym został *ex praesidio* delegat nasz na powiat Chrzanowski, poseł do Rady państwa i do Sejmu, hr. Antoni Wodzicki.

Kongres odbył się przy licznym współudziale zaproszonych gości i delegatów towarzystw, jak również delegatów niektórych władz i instytucyi, o czem zresztą zdaliśmy sprawę w „*Łowcu*“, w Nr. 7-ym z r. b.

Z kilku bardzo interesujących zresztą referatów, zajmiemy się tu jednym, a mianowicie referatem p. Denka w sprawie organizacyi „związku austryackich kół myśliwskich i z myśliwstwem związek mających“. Inicyatorzy zjazdu wypowiadają przez usta referenta mniemanie, że stworzenie jednolitego, potężnego Towarzystwa, obejmującego koła myśliwskie wszystkich krajów austryackich, posunęłoby sprawę rozwoju łowiectwa znacznie naprzód.

„Nie chcemy zapoznawać wartości istniejących kra„jowych Towarzystw łowieckich, mówi p. Denk, jednakże „jest rzeczą, nieulegającą żadnej wątpliwości, że wpływ „ich dalej sięgnie, jeżeli będą należeć do jednego związku, „który na całą Austryę ramiona swe rozszerzy“.

„Taki związek będzie powołany do wydawania orze„czeń stanowczych w wielkich zasadniczych kwestyach. „Przez ten związek będzie się można starać o stworzenie „Rady łowieckiej przy boku Ministerstwa rolnictwa. „Związek ma zamiar stworzyć oddział prawniczy, w tym „celu, aby mógł on we wszystkich zasadniczych dla ogółu „łowieckiego ważnych sprawach, gdzie chodzi o rozstrzy„gnienia administracyjne lub sądowe, zabierać głos i w tych „wypadkach interweniować, w których prywatnej osobie „nie opłaci się dla wrzekomo drobnej sprawy przejść ca„łego toku instancyi. Także sprawa zabezpieczenia ko„sztów szkód przez zwierzynę czynionych, będzie przed„miotem pracy związku. *Związek będzie musiał ściągać od „członków całkiem drobną wkładkę, wynoszącą może 2 ko„rony dla właścicieli polowań, dzierżawców i gości, a 1 ko„ronę dla zawodowych myśliwych*, (zatem dla leśników „i służby leśnej)“.

Po przemowie tego referenta uchwalono „przez aklamacyę“, jak stwierdza protokół posiedzenia, stworzenie „Związku“ (*Verband österreichischer Jagdinteressenten*) i wybrano do komitetu wykonawczego dla każdego kraju koronnego *czterech* zastępców. Dla Galicyi zostali wybrani: prezes naszego Towarzystwa, JE. hr. Roman Potocki, wiceprezes Tadeusz Czarkowski-Golejewski, delegat nasz hr. Antoni Wodzicki i p. Eugeniusz Abrahamowicz.

Wydział Towarzystwa zastanawiał się kilkakrotnie nad sprawą przystąpienia do tego Związku.

Przypominam Szanownym Panom okoliczność, że już w r. 1885 obradował w Wiedniu podobny kongres, którego duchowym spadkobiercą z pewnemi zastrzeżeniami uznał się, jak stwierdza protokół, obecny kongres. I wtedy brało nasze Towarzystwo udział w naradach wstępnych nie wzięło zaś udziału w samych obradach kongresu. Powody podał ówczesny Wydział w artykule wstępnym „*Łowca*“ z r. 1886, którego odpowiedni ustęp pozwalam sobie Panom odczytać:

„Wiadomo szan. czytelnikom, że w Wiedniu od 19. do 22. maja 1885 obradował Kongres myśliwski, złożony z reprezentantów Towarzystw myśliwskich krajów koronnych Austryi. Nasze Towarzystwo, które wysłało było swego delegata na naradę wstępną, odbytą poprzedniego roku, nie wzięło w nim udziału, zasłaniając się przesłanem komitetowi urządzającemu następnem pismem: „W odpowiedzi na szanowna odezwę z 30 z. m. ma galic. Tow. łow. zaszczyt wyrazić swoje ubolewanie, iż odmienność tak topograficznych jakoteż łowieckich stosunków krajowych nie dozwala naszemu Towarzystwu wziąć udziału w kongresie myśliwskim“. Może nie wszyscy członkowie naszego Towarzystwa staną po stronie tego postanowienia, a to zapewne głównie w obawie, iżby uchwały kongresu, zamienione później w prawo, bez naszej ingerencyi, nie przyniosły szkody naszemu myśliwstwu, którego stosunki

jak to widzimy w sprawozdaniu stenograficznem, wcale nie były na kongresie uwzględniane. Wydział Tow. łow. po dojrzalej rozwadze, widząc w czasie narady wstępnej, główną tendencyę przyszłego kongresu w centralizacyi, która zagrozić by mogła naszemu autonomicznemu pod względem łowiectwa stanowisku, musiał się oprzeć temu dażeniu. Wezwany chętnie wyjaśni nasze odrębne stosunki i wymagania, zresztą w drodze legalnej strzedz będzie naszej indywidualności. W listopadzie z. r. otrzymaliśmy stenograficzne sprawozdanie obrad kongresu w sporej księdze. Rozmiar jej nie dozwala nam podać w „*Łowcu*" całej treści, ustępami tylko i w skróceniu możemy umieszczać rezultaty narad. Głównymi punktami porządku dziennego kongresu były: Reforma ustawodawstwa łowieckiego *i utworzenie centralnego organu wszystkich austryackich Towarzystw myśliwskich*. Nie poruszając tu wcale pierwszego punktu jako zbyt rozległego, nadmienimy co do ustępu drugiego, iż pewnie żaden z członków naszego Towarzystwa nie tylko nie zgodziłby się z owym projektem, ale nawet uważałby go za wprost niedorzeczny, bo zacierający i tępiący wszelką indywidualność krajów koronnych austryackich pod względem myśliwstwa. Zatwierdzenie takiego postulatu byłoby niejako samobójstwem".

Obecny kongres zastrzega się wprawdzie, że tak daleko idących zamiarów centralistycznych nie ma — w każdym jednak razie zdawało się Wydziałowi Towarzystwa, raz z tego powodu, że nie chciałby dawać przykładu wzmacniania centralizmu, w jakiejkolwiek bądź formie się objawiającego, powtóre z tego powodu, że analogiczne nam dolno-austryackie Towarzystwo łowieckie z kongresem tym się nie solidaryzowało, iż w sprawie tej należy z całą ostrożnością postępować.

Wychodząc z zapatrywania jednak, że jest obowiązkiem Towarzystwa naszego w miarę sił wspomagać każde dążenie do rozwoju łowiectwa, postanowił Wydział Towarzystwa przedłożyć Szanownemu Zgromadzeniu następujące wnioski do uchwalenia:

„Walne Zgromadzenie galicyjskiego Towarzystwa „łowieckiego nie uważa za odpowiednie, aby Towarzystwo „uchylało się od jakiejkolwiek uczciwie pomyślanej akcyi „w kierunku podniesienia łowiectwa i udziela następującej instrukcyi swoim delegatom:

1) Delegaci mają prawo zgłosić przystąpienie gal. Towarzystwa łowieckiego do proponowanego związku pod wrrunkiem:

a) że będzie uważane jako jeden członek związku i opłacać będzie tylko jednę wkładkę, nawet do wysokości 50 koron — że zaś członkowie Towarzystwa do opłacania osobnych wkładek nie będą pociągani;

b) że Towarzystwu służy prawo wystąpienia ze związku każdej chwili, kiedy to uzna za stosowne, bez potrzeby podania powodów i bez żadnego innego obowiązku, jak opłacenie wkładki za ten rok, w którym wystąpienie nastąpi.

Referent skonstatowawszy jeszcze obojętność naszych członków na sprawy łowieckie, czego dowodem tak nieliczne tegoroczne zebranie i wskazawszy jako przykład takie zebranie z 9 marca 1901, na którem zjawiło się kilkuset obradujących, prosi o uchwalenie podanych przez siebie imieniem Wydziału wniosków.

P. Grünwald zgadza się z wnioskiem, lecz proponuje, aby kwotę 50 koron podnieść do 100 koron.

Przewodniczący nie widzi potrzeby uchwalania wysokości kwoty, bo sądzi, że wysokość wkładki wskaże statut związku.

P. Miziewicz wnosi, żeby do instrukcyi delegatów dodać jeszcze jeden ustęp, a mianowicie polecenie, aby delegaci starali się o umieszczenie w statucie przepisu, iż do Związku mogą należeć osoby moralne i fizyczne, tak żeby Towarzystwo nasze mogło z mocy statutu, a nie wyjątkowo, należeć do Związku jako Towarzystwo. Po wyjaśnieniach udzielonych przez referenta i wniosku p. Krogulskiego, żeby zostawić wolną rękę delegatom co do kwoty, w nadziei, że znając nasze stosunki materyalne, nie zaangażują nas nad możność, uchwalono obydwa wnioski z wypuszczeniem kwoty.

Jako 7 punkt porządku dziennego referuje p. Miziewicz sprawę rozdzielenia nagród imienia hr. Józefa Potockiego dla służby łowieckiej odznaczającej się przy ochronie zwierzyny i chwytaniu kłusowników. Referent podnosi, że rozdawanie nagród na podstawie statutu jest atrybucyą Wydziału, że jednakże Wydział w tym roku przychodzi z tą sprawą wyjątkowo przez Walne Zgromadzenie, aby niejako uroczyście zainaugurować fakt, że dzięki wspaniałomyślnemu darowi znakomitego naszego łowca i pisarza łowieckiego, możemy po raz pierwszy przystąpić do udzielenia nagród dla służby łowieckiej. Niestety, i w tym nawet kierunku zaznaczyć musiał referent obojętność ogółu dla spraw łowiectwa — na 7 nagród podało się tylko 4 kandydatów. Pierwszą nagrodę w kwocie 40 koron otrzymał Iwan Wasilków, nadzorca łowiecki w Stulsku, który w ostatnich kilkunastu miesiącach kilkunastu wyłapał kłusowników i oddał ich do ukarania, drugą (30 koron) Jan Pelc z Krzemienicy, trzecią (30 koron) Teodor Jankowski z Łańcuta, czwartą (20 koron) Jacenty Walat z Łańcuta. Z tych trzech pierwszy ujął i dostawił do ukarania 12, drugi i trzeci po 8 kłusowników. Po dyskusyi, w której zabierali głos pp. Kownacki, Krogulski i Szczerbicki, przyjęło Walne zgromadzenie do wiadomości ten rozdział nagród.

P. Krobicki interpeluje prezydyum co się dzieje z petycyą Towarzystwa w sprawie zmiany przepisów co do święcenia niedzieli. Przewodniczący odpowiada, że petycyę podpisał i że wniósł do Sejmu i że będzie się starał wszelkiemi siłami, aby została ona pomyślnie załatwioną, choć obawia się, że z powodu krótkiego czasu, przeznaczonego na obrady Sejmu, może ona znowu spaść z porządku dziennego. Po dyskusyi, w której zabierają głos pp. Krogulski, Miziewicz i Szczerbicki, uchwalono wybrać deputacyę, któraby sprawę obydwóch petycyi, wniesionych przez Wydział Towarzystwa do Sejmu u referenta komisyi i gdzie należy odpowiednio poparła. Do deputacyi wybrano JE. hr. Romana Potockiego i Ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego. Ten sam interpelant zapytuje, co się dzieje w sprawie utworzenia związku towarzystw łowieckich w kraju. P. Krogulski imieniem Wydziału, odpowiada, powołując się na sprawozdanie z czynności, że zmianę statutu Towarzystwa, uchwaloną w roku zeszłym, wniesione zostanie podanie wraz z obecnie uchwaloną zmianą statutu. Wywiązuje się dyskusya nad apatyą przeważnej ilości Towarzystw łowieckich w kraju, które nie poczuwają się nawet do obowiązku dać Towarzystwu znać o swojem istnieniu i o swoim rozwoju. Uchwalono wezwać delegatów w sposób, jaki Towarzystwo uzna za

stosowne, aby sprawę łączenia się Towarzystw myśliwskich popierali.

P. Macudziński podaje jako curiosum następujący fakt do wiadomości członków zebrania. Schwytano kłusownika, który strzelał do zwierzyny z pistoletu. Został skazany na odpowiednią karę przez Starostwo, jednakże Namiestnictwo zniosło wyrok, gdyż ustawa mówi tylko o „strzelbie" — zaś o „pistolecie" nie wspomina. (Ogólna wesołość).

P. Kownacki porusza myśl, aby poczyniono jakieś kroki celem zapewnienia krajowym myśliwym możliwości wydzierżawiania rewirów górskich w lasach skarbowych. Po dłuższej dyskusyi, w której zabierają głos pp. Czarkowski-Golejewski, Krogulski, Goralczyk i Szczerbicki postanowiono polecić Wydziałowi Towarzystwa, aby odpowiednie kroki w tej sprawie poczynił.

P. Münter robi imieniem wielu członków uwagę, oddając przytem sprawiedliwość Redakcyi „*Łowca*", że dokłada starań, aby pismo tu zrobić jak najwięcej interesującem, iż powinna się wystrzegać umieszczania poezyi, którym brak przedmiotu łowieckiego i ilustracyi, które są tylko fotografiami uczestników jakiegoś polowania. Imieniem Redakcyi, oświadcza członek Wydziału, p. Miziewicz, że Redakcya zastosuje się do tego życzeniu.

Po wyrażeniu uznania dla Wydziału za jego pracę koło dobra łowiectwa krajowego, które zgromadzenie na wniosek p. Krobickiego jednogłośnie uchwala, zamyka p. Przewodniczący obrady.

Na strzelnicy.

Prześliczna pogoda — strzelnica zapełniona — pań więcej niż w roku zeszłym.

Przewodniczy strzelaniu w zastępstwie Prezesa komitetu, Exc. Witolda Korytowskiego, wiceprezes Juliusz hr. Bielski młodszy.

Punkt o godzinie 4-ej rozpoczyna się **pierwsze strzelanie**, to jest do tarczy stałej o 80 kroków. Staje 18 współzawodników.

Pierwszą nagrodę (magazyn na 300 naboi) otrzymuje kap. Mostowski, drugą (figurę z bronzu z zegarem) p. Kownacki, trzecią (wieszadło z rożkami i psią głową) p. Hamerski. O drugą i trzecią nagrodę strzelali powtórnie p. Hamerski, Kownacki i Mazurek, którzy przy pierwszem strzelaniu zrobili po 16 punktów. Przy drugiem strzelaniu miał p. Kownacki 30 punktów, p. Hamerski 25 punktów.

II. strzelanie do tarczy stałej o 120 kroków. Staje 15 współzawodników — pierwszą nagrodę (neseser do podróży) otrzymuje p. Hamerski, drugą nagrodę (etui na cygarety) p. Mostowski, trzecią (kaseta na cygara) p. Pauli, czwartą nagrodę (futeral na strzelbę) p. Linderski.

III. strzelanie do tarczy ruchomej, przedstawiającej dzika, o 100 kroków: pierwszą nagrodę (zegar z onyxu z dwoma wazami) uzyskał p. Pieńczykowski za 18 punktów (najwyższa ilość punktów, którą można było uzyskać, było 20 punktów), drugą nagrodę (stelaż na broń z rogów) kap. Mostowski za 16 punktów, trzecią nagrodę (kasetę na cygara) p. Grünwald za 15 punktów.

IV. strzelanie do tarczy ruchomej przedstawiającej lisa, na 100 kroków. Strzelanie to budzi wiele zainteresowania, lis bowiem na tarczy jest mniejszy niż w rzeczywistości, a o sto kroków przedstawia bardzo mały cel. Oprócz tego tarcza porusza się dość szybko i lis, przedstawiony na niej robi ruchy, podobne do ruchów galopującego konia, co utrudnia strzelanie. Najwięcej punktów można zrobić 20. Pierwszą nagrodę (zegar w oprawie z rogów) otrzymuje p. Mazurek za 5 prześlicznych strzałów, razem 18 punktów, drugą nagrodę (srebrną papierośnicę) kap. Nostadt za 17 punktów, trzecią nagrodę (kalamarz z bronzu z dzikami) kap. Knapp za 12 punktów.

Równocześnie na innym punkcie strzelnicy odbywa się **V. strzelanie** z pistoletów do tarczy o 4 cm. średnicy — 25 kroków. Pierwszy raz urządzone strzelanie z pistoletów budzi także bardzo silne zainteresowanie. Staje sześciu współzawodników — strzały padają śliczne — czarne kółko o 4 cm. wydaje się o 25 kroków małym punkcikiem, a przecież kule znajdują go. Pierwszą nagrodę (garnitur na wódkę z bronzu) otrzymuje p. Münter, drugą (jeleń z bronzu) p. Kownacki, trzecią (kalamarz z bronzu, szpony orle) p. Grünwald.

VI. strzelanie do kul szklannych łączy znowu rozdzielone przy ostatniem strzelaniu towarzystwo. Strzela 13 współzawodników. Jedna z maszyn rzuca kule ku strzelającym, drugą prawie pionowo w górę, wskutek czego odległość wydaje się na bądź co bądź, cieńki śrót, za wielką.

Pierwszą nagrodę (kalamarz z bronzu z głuszcem) otrzymuje kap. Stiller, drugą (pistolet Browninga w szkatułce) p, Hamerski — o trzecią nagrodę rozpoczyna się powtórne strzelanie między czterema współzawodnikami, którzy mieli równą ilość zbitych kul. Przy pierwszym strzelaniu odpada zaraz dwóch współubiegających się — pozostaje do dalszego strzelania kap. Knapp i p. Linderski. Wśród wielkiego zainteresowania i wielkiej wesołości widzów, strzelają obaj ci współzawodnicy po cztery razy i zawsze jednako, tak, że sprawa pozostaje ciągle nierozstrzygnięta, wreszcie zdobywa nagrodę (torbę podróżną z futerałem na strzelbę) p. Linderski.

Tym epizodem kończą się zawody na strzelnicy. Następuje rozdanie nagród wręcza - - je po stosownej przemowie Exc. jenerał v. Koller. Muzyka intonuje pięknego marsza, rozbawieni uczestnicy opuszczają strzelnicę wśród żywej rozmowy o wrażeniach dnia.

Kalendarz łowiecki.

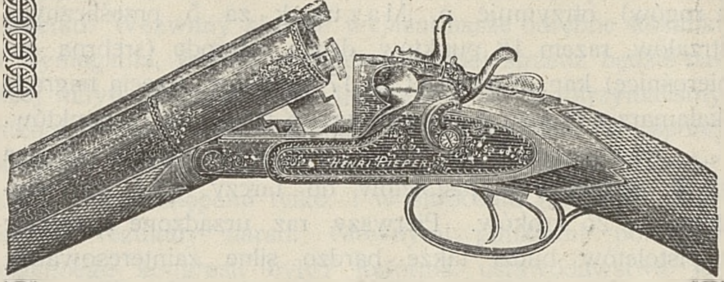


W lipcu pozwala ustawa strzelać do rogaczy, do ptactwa błotnego i wodnego.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:
Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Exprcsy, pojedyncze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Coletha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów cstrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

☛ po cenach najtańszych. ☚

C. k. uprz.

FABRYKA MASZYN ODLEWARNIA I KOTLARNIA

„PERKUN"

Spółka komandytowa Ferdynanda Pietzsch'a

FABRYKA MASZYN WE LWOWIE

ul. św. Marcina l. 11. Biuro techn.: Kopernika 18.

FABRYKA NARZĘDZI ROLNICZYCH I SKŁAD FILIALNY
w Rzeszowie ul. Sobieskiego.

Urządza kompletne tartaki, młyny wodne i parowe, gorzelnie. Urządza światło elektryczne, przenoszenie siły, gromochrony, centralne ogrzewalnie i wodociągi.

Bibułka odznaczona najwyższą nagrodą na wystawie światowej w Paryżu 1900. oraz złotym medalem na wystawie przyrodn.-lekarsk. w Krakowie 1900.

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych oraz tutek cygaretowych

Dla łatwego wyboru tutek polecam:

Tutki białe „Noris"
„ „ „ z watą
„ kukurydzowe „Mais Numa"
„ „ „Mais Albert"
} do tytoniów lekkich specyal n.

„ „ „Mais de Paris"
„ „ „Mois Wallis"
„ egipskie „El Maur"
„ „ „Offic. Club".
} do tytoniów specyalnych

Na żądanie wysyłam darmo .... i opłatnie okazy tutek.

„NORIS"

Władysława Bełdowskiego

magistra farmacyi chemika w Krakowie.

Idąc z postępom i rozwojem przemysłu i chcąc zaspokoić wszelkie wymagania P. T. palących papierosy, wprowadziłem tutki „NORIS" udoskonalone, tem się odznaczające, że papieros zapalony **nie gaśnie szybko, nie naciąga tłuszczem, a wskutek tego, całego papierosa można smacznie wypalić.**

Wogóle zwracamy uwagę na **tutki białe „NORIS" i kukurydzowe**, odznaczają się bowiem chłodnym i łagodnym dymem, nie wpływają ujemnie na **zmianę smaku i zapachu tytoniu**, a to jest ich bardzo wysoką zaletą, **że nie drażnią krtani i nie pobudzają wskutek tego do kaszlu.**

Liczne uznania, jakie odbieram, są najlepszym dowodem niepospolitej jakości moich wyrobów.

☛ Do nabycia we wszystkich handlach i trafikach. ☚

Wyłączny skład na Lwów i wschodnią Galicyę: W składzie osobliwszych gatunków tytoniu i cygar, ulica Karola Ludwika.

Z wysokim poważaniem

WŁ. BEŁDOWSKI, magister farmacyi i chemik.

Poselska 20.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.